Prawie jak w domu

Dwa sposoby na życie. Jedno miejsce na bliskość



Laura Bellini

Prawie jak w domu

Dwa sposoby na życie. Jedno miejsce na bliskość

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904497

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Człowiek z własnym planem 9
Rozdział 2 - Warunki, których nie było w umowie..... 20
Rozdział 3 - Droga nie zawsze prowadzi prosto 33
Rozdział 4 - Poza mapą..... 45
Rozdział 5 - Granica między pracą a pragnieniem 58
Rozdział 6 - Miejsce, w którym można zostać 66
Rozdział 7 - Poranek po zmianie 79
Rozdział 8 - Jego świat 90
Rozdział 9 - Próba na własnych warunkach.....105
Rozdział 10 - Kiedy przestajesz być gościem 116
Rozdział 11 - Światło poranka 126
Rozdział 12 - Miejsce, którego nie wybierałam 135
Rozdział 13 - Cena wspólnego planu.....147
Rozdział 14 - Rzeczy, których nie mówimy 156
Rozdział 15 - Dom zbudowany bez pytania.....166
Rozdział 16 - Kiedy trzeba odjechać 178
Rozdział 17 - Dwie strony tej samej drogi.....190
Rozdział 18 - Miejsce na powrót.....198
Rozdział 19 - Miejsce obok siebie 208
Rozdział 20 - Prawie jak w domu 219

INTRO

Ostatni punkt na mojej trasie leżał nad jeziorem, na skraju wsi, której nazwy nie umiałam potem wymówić bez sprawdzania mapy. Tego popołudnia nie miało to jednak znaczenia. Dzieci siedziały na kocach między trzcinami, dorośli trzymali papierowe kubki z herbatą, a ja czytałam na głos fragment powieści, której bohaterka przez pół życia próbowała znaleźć miejsce, w którym nikt nie będzie od niej niczego chciał. Kiedy zamknęłam książkę, jedna z dziewczynek podeszła do mojego samochodu i zapytała, czy przyjadę jeszcze raz.

— Jeśli droga będzie przejezdna — odpowiedziałam.

— A jak nie będzie?

— To znajdę inną.

Uśmiechnęła się, jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwała. Ja też ją lubiłam. Była prosta, prawdziwa i od dawna stanowiła mój sposób na życie.

Mój obecny samochód, biały dostawczak z granatowym napisem „Księgarnia w drodze", stał kilka metrów dalej, z tylnymi drzwiami otwartymi na oścież. W środku pachniało papierem, drewnem i kawą, którą zdążyłam rozlać na gumową wykładzinę podczas porannego postoju. Półki trzymały się dzielnie, choć jedna od tygodnia skrzypiała na zakrętach, a boczne drzwi trzeba było domykać biodrem. Kochałam ten samochód za wszystko, co mi umożliwił, ale coraz częściej miałam wrażenie, że proszę go o więcej, niż może mi dać.

Dlatego kupiłam drugi.

Zaczynałam od trzech skrzynek, rozkładanego stolika i samochodu, który po każdym deszczu pachniał wilgotną tapicerką. Z czasem ludzie zaczęli czekać na mnie w tych samych miejscach. Jedni przychodzili po kryminały, inni oddawali książki, które kupili miesiąc wcześniej, żeby polecić mi je z takim przejęciem, jakby powierzali mi rodzinny sekret. Zdarzało się, że ktoś zostawał na rozmowę dłużej niż na zakupy. Właśnie dla tych chwil chciałam większego wnętrza: nie po to, żeby mieć więcej towaru, lecz żeby nikt nie musiał stać na deszczu, kiedy wybiera następną historię.

Nie był jeszcze księgarnią. Był używanym busem, który miał za sobą lepsze lata i kilka napraw wykonanych z taką fantazją, że poprzedni właściciel powinien chyba zostać pisarzem. Stał teraz w warsztacie na obrzeżach miasteczka, czekając na przebudowę. Miał dostać półki, składany blat, miejsce na skrzynki z książkami i szerokie drzwi, przez które można będzie wejść bez pochylania głowy. Chciałam, żeby stał się czymś więcej niż samochodem z regałami. Miał być małą księgarnią, która potrafi zatrzymać się przy jeziorze, na rynku albo pod szkołą, a potem ruszyć dalej, zanim ktokolwiek zdąży zapytać, kiedy wreszcie zapuszczę korzenie.

Miałam plan. Rozpisaną trasę po Warmii, listę bibliotek i małych festynów, wstępne terminy spotkań, a nawet rezerwację miejsca na targach książki w Olsztynie. Nowy samochód miał być gotowy przed początkiem sezonu. Nie potrzebowałam cudu. Potrzebowałam solidnej pracy, rozsądnego budżetu i ludzi, którzy rozumieli, że mobilna księgarnia nie jest zwykłym autem dostawczym z ładniejszym wnętrzem.

Tego wieczoru, kiedy wróciłam do warsztatu, rozsądek kazał mi jechać do domu. Zamiast tego zaparkowałam pod bramą, wyłączyłam silnik i przez chwilę siedziałam w ciszy. W kabinie zostało ciepło po całym dniu, a na szybie osiadała wilgoć. Z oddali dochodził szum drogi i pojedyncze szczeknięcie psa. Miałam jeszcze sprawdzić wymiary wnętrza, porównać je z rysunkami i upewnić się, że w projekcie zmieści się składany blat. Jutro miała się zacząć właściwa praca. Nie chciałam odkładać niczego na później.

W warsztacie paliła się jedna lampa. Drzwi boczne nie były zamknięte, więc weszłam, wołając mechanika po imieniu, ale odpowiedziała mi tylko cisza. Mój nowy samochód stał na środku hali, pozbawiony części bocznych paneli. Bez nich wyglądał na większy i bardziej bezbronny. Przesunęłam dłonią po chłodnej krawędzi blachy, jakbym mogła w ten sposób sprawdzić, czy decyzja o zakupie była rozsądna.

Na stole leżał wydruk projektu. Rozłożyłam go obok miarki i zaczęłam porównywać wymiary. Pierwszy problem znalazłam szybko: wnęka, w której planowałam umieścić najniższe półki, była węższa, niż wynikało z dokumentacji. Drugi pojawił się chwilę później. Jeśli zostawię przejście tak szerokie, jak chciałam, składany blat będzie krótszy. Jeśli powiększę blat, ktoś będzie musiał przeciskać się bokiem między regałami.

Usiadłam na odwróconej skrzynce. Nie była to katastrofa. Lubiłam rozwiązywać problemy, zwłaszcza te, które miały konkretne wymiary i nie wymagały odgadywania cudzych intencji. Mogłam przesunąć półki, zmienić głębokość blatu, zrezygnować z jednej szafki. Nie zamierzałam jednak poświęcać wygody ludzi, którzy mieli wchodzić do środka.

Książki nie potrzebowały luksusu. Ludzie potrzebowali miejsca, żeby przez chwilę poczuć się swobodnie.

Przesunęłam miarkę po podłodze i zanotowałam kolejne liczby. Zależało mi na przejściu, w którym dwie osoby mogły minąć się bez przepraszania i przytrzymywania oddechu. Chciałam też zostawić miejsce na mały stołek, bo starsi klienci często potrzebowali chwili, zanim zdecydowali się na książkę. Wstawiłam te wymagania do projektu od początku. Nie były ozdobnikami. Stanowiły różnicę między sklepem, który tylko jeździ, a miejscem, do którego chce się wrócić.

Wyjęłam z torby notes. Na pierwszej stronie miałam zapisane daty, nazwy miejscowości i nazwiska osób, które obiecały pomóc przy pierwszych spotkaniach. Obok, innym kolorem, widniała lista rzeczy do zrobienia. Większość punktów była już odhaczona. Patrząc na nią, poczułam krótką, nieprzyjemną ulgę: wszystko zależało ode mnie. Jeśli coś się nie uda, nie będę musiała zastanawiać się, czy ktoś dotrzymał słowa. Jeśli się uda, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że zawdzięczam to czyjejś łasce.

Telefon zawibrował na stole. Wiadomość od mechanika była krótka: „Jutro o ósmej przyjedzie Witek. Projektant. Musicie ustalić układ od nowa, bo obecny nie przejdzie przy tych wymiarach”. Przeczytałam ją dwa razy. Nie lubiłam, kiedy ktoś informował mnie o zmianie planu, jakby moja obecność miała być tylko formalnością. Odpisałam, że będę o ósmej i że chcę zobaczyć wszystkie warianty, zanim ktokolwiek zacznie cokolwiek ciąć.

Przez moment kusiło mnie, żeby dopisać, że to moja księgarnia, moje pieniądze i moja trasa. Nie zrobiłam tego. Nie znałam jeszcze człowieka, który miał przyjechać, nie wiedziałam, jak pracuje ani czy potrafi słuchać. Nie

zamierzałam rozpoczynać współpracy od kłótni z kimś, kto być może okaże się po prostu dobry w swoim fachu.

Zgasiłam lampę i wyszłam na zewnątrz. Powietrze pachniało mokrą trawą i wodą. Na parkingu mój stary dostawczak czekał cierpliwie, jak wierny pies, który nie zadaje pytań, nawet kiedy wracam później, niż obiecałam. Oparłam się o jego bok i spojrzałam w stronę drogi. Jutro miałam poznać człowieka, od którego zależał kształt nowej księgarni. Mój plan był gotowy, przynajmniej na papierze. Tylko że po raz pierwszy od dawna nie chodziło już wyłącznie o to, dokąd pojadę.

Czy potrafiłabym dopuścić kogoś do decyzji o miejscu, które miało być moje — nie tracąc przy tym prawa, by w każdej chwili ruszyć dalej?

Rozdział 1 - Człowiek z własnym planem

O ósmej pięć byłam już w warsztacie, z notesem pod pachą, dwoma kubkami kawy i przekonaniem, że przynajmniej tego dnia nic nie powinno mnie zaskoczyć. Jeden kubek postawiłam na stole obok dokumentacji, drugi zamierzałam wypić w drodze powrotnej, jeśli rozmowa z projektantem okaże się równie długa, jak zapowiadała wiadomość mechanika. Mój plan na poranek był prosty: obejrzeć samochód, omówić wymiary, ustalić kolejność prac i wyjść z konkretnym harmonogramem. Nie miałam ochoty na wielogodzinne dyskusje o tym, czy księgarnia w drodze jest dobrym pomysłem. Ten etap miałam już za sobą.

W środku pracowało radio, ktoś przesuwał metalowe elementy po betonowej posadzce, a przy moim samochodzie stał mężczyzna w ciemnej koszuli z podwiniętymi rękawami. Trzymał w jednej dłoni zwinięty arkusz, drugą opierał o krawędź otwartych drzwi. Nie wyglądał na kogoś, kto przyszedł tylko rzucić okiem na projekt. Miał skupioną twarz, lekko zmarszczone czoło i ten rodzaj spokoju, który czasami bywa bardziej irytujący niż pośpiech.

— Alina Rataj? — zapytał, zanim zdążyłam się przedstawić.

— Zależy, kto pyta.

Odwrócił się w moją stronę.

— Sławomir Witek. Mam zaprojektować wnętrze tego pojazdu i dopilnować, żeby po przebudowie nadal nadawał się do jazdy.

Podał mi rękę. Uścisk miał pewny, ale nie demonstracyjnie mocny. Zauważyłam kilka drobnych śladów smaru przy paznokciach i zegarek z porysowanym paskiem. Nie wyglądał jak ktoś, kto całe dnie spędza za biurkiem, chociaż jego zawód mógłby na to wskazywać.

— Miło mi. Mam nadzieję, że zdążył pan zapoznać się z projektem.

— Zdążyłem. Dlatego chciałem zobaczyć samochód przed rozmową.

— Przecież stoi przed panem.

— Właśnie dlatego.

Nie odpowiedziałam. Odstawiłam kawę na stół i rozłożyłam dokumentację. Miałam przygotowane trzy wersje układu półek, dwa warianty blatu i listę wyposażenia, którego nie zamierzałam wykreślać. Wszystko było opisane, zwymiarowane i przemyślane. Nie kupiłam samochodu po to, żeby teraz przypadkowa osoba urządzała mi wnętrze według własnego gustu.

Sławomir rozwinął swój arkusz obok mojego. Przyjrzał się rysunkom, a potem przesunął palcem wzdłuż planowanej zabudowy.

— To jest pani ostateczna wersja?

— Tak.

— Kto ją przygotował?

— Ja. Konsultowałam wymiary z poprzednim mechanikiem, ale koncepcja jest moja.

— Widać.

Nie byłam pewna, czy był to komplement.

— Coś panu nie odpowiada?

— Kilka rzeczy.

Przesunął dokumentację w moją stronę i wskazał dolną część zabudowy.

— Tutaj chce pani umieścić cięższe skrzynki. Tutaj lodówkę, a po drugiej stronie zbiornik na wodę. Wszystko wygląda rozsądnie na papierze, ale nie uwzględnia pani tego, jak samochód będzie zachowywał się na drodze. Przy pełnym obciążeniu rozkład masy może być problemem.

— Dlatego zatrudniłam projektanta.

— W takim razie proszę pozwolić mi wykonać tę część pracy.

Powiedział to spokojnie, bez cienia ironii. I właśnie dlatego nie mogłam zbyć jego uwagi jako zwykłej próby zaznaczenia własnej pozycji.

Podeszłam do samochodu i zajrzałam do środka. Na podłodze leżały już zdemontowane panele, a w tylnej części ktoś oznaczył taśmą miejsca przyszłych półek. W wyobraźni widziałam tam regały pełne książek, niewielką ladę i dwa składane siedziska. Nie potrzebowałam luksusowego kampera. Chciałam stworzyć przestrzeń, w której człowiek mógłby spokojnie przejrzeć książkę, porozmawiać ze mną i nie czuć, że przeszkadza innym klientom.

— Nie chcę, żeby pan zmieniał całą koncepcję — powiedziałam. — Zależy mi na otwartym przejściu, niskich półkach i blacie, który będzie można rozłożyć podczas postojów. Nie planuję mieszkać w tym samochodzie.

Sławomir spojrzał na mnie znad dokumentacji.

— Nie projektuję pani mieszkania.

— Dobrze. Bo już zaczynałam się obawiać.

Na jego twarzy pojawił się krótki uśmiech.

— Projektuję samochód, który będzie woził ludzi, książki, wyposażenie i pewnie jeszcze kilka rzeczy, o których dowiem się w trakcie. Muszę wiedzieć, jak pani zamierza z niego korzystać.

— Będę jeździć po Warmii. Biblioteki, szkoły, lokalne wydarzenia, targi. Czasami małe miejscowości, czasami większe miasta. Nie zamierzam codziennie wracać do jednego punktu.

— Jak długo będą trwały postoje?

— Różnie. Od godziny do całego dnia.

— A noclegi?

— Zależy od trasy.

Przez chwilę patrzył na mnie uważnie, jakby próbował dopasować odpowiedź do czegoś, co już wcześniej usłyszał.

— Czyli samochód ma być samowystarczalny.

— Ma być praktyczny.

— To nie zawsze oznacza to samo.

Nie spodobało mi się, że mówił tak, jakby musiał wyjaśniać mi podstawowe zasady prowadzenia własnej działalności. Miałam trzydzieści sześć lat, prowadziłam księgarnię od kilku lat i wiedziałam, ile kosztuje źle podjęta decyzja. Nie potrzebowałam opiekuna.

— Panie Witek, nie przyszłam tu po ocenę mojego pomysłu. Przyszłam po projekt, który pozwoli mi go zrealizować.

— A ja nie przyjechałem po to, żeby narysować coś, co będzie ładnie wyglądało na wizualizacji i okaże się niebezpieczne po załadowaniu.

Zrobiło się cicho. Z drugiej strony hali dobiegł dźwięk uderzenia młotka. Sławomir nie odwrócił wzroku. Nie próbował też łagodzić swoich słów. Było w nim coś bezpośredniego, co mogłoby być irytujące, gdyby nie fakt, że nie sprawiał wrażenia człowieka, który mówi tylko po to, żeby postawić na swoim.

— Dobrze — powiedziałam. — W takim razie proszę mi pokazać, co konkretnie chce pan zmienić.

Rozłożył rysunek na masce sąsiedniego samochodu. Jego propozycja różniła się od mojej przede wszystkim sposobem mocowania półek i rozmieszczeniem najcięższych elementów. Chciał zastosować modułową zabudowę, którą można byłoby częściowo demontować, gdybym potrzebowała przewieźć większą liczbę skrzynek. Blat miał być mocowany do konstrukcji ściennej, a nie do pojedynczej szafki. W dolnej części planował dodatkowe wzmocnienia.

— To ma sens — przyznałam po chwili. — Ale jeśli zabudujemy całą ścianę, stracę miejsce na ekspozycję.

— Nie proponuję zabudowy całej ściany.

— Na rysunku wygląda inaczej.

— Bo nie narysowałem jeszcze wszystkich elementów. Najpierw muszę wiedzieć, czego naprawdę pani potrzebuje.

— Wysłałam listę.

— Lista mówi, czego pani chce. Nie mówi, z czego może pani zrezygnować.

— Z niczego, co ma znaczenie dla funkcjonowania księgarni.

Spojrzał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

— To będzie trudniejsza praca, niż myślałem.

— Mogę polecić panu prostszą. Podobno ktoś w Olsztynie szuka projektanta do zabudowy zwykłego kampera.

— A pani podobno szuka kogoś, kto potrafi zbudować księgarnię na kołach.

Tym razem uśmiechnęłam się pierwsza. Nie dlatego, że mnie przekonał, lecz dlatego, że nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Nie podniósł głosu, nie próbował mnie zdominować. Po prostu nie zamierzał ustąpić w sprawie, za którą odpowiadał zawodowo.

— Dobrze. Zacznijmy od konkretów.

Przez następne kilkadziesiąt minut mierzyliśmy wnętrze. Sławomir pracował szybko, ale bez pośpiechu. Każdy wymiar sprawdzał dwa razy, zaznaczał na arkuszu i dopisywał krótkie uwagi. Kiedy zapytałam, dlaczego przesuwa punkt mocowania półki o kilka centymetrów, pokazał mi fragment konstrukcji, którego wcześniej nie zauważyłam. Wskazał miejsce, w którym przebiegało wzmocnienie nadwozia, i wyjaśnił, że nie zamierza naruszać elementów odpowiedzialnych za sztywność pojazdu.

Słuchałam, choć nie zamierzałam mu tego ułatwiać.

— A tutaj? — zapytałam, wskazując tylną część samochodu. — Chciałabym mieć możliwość wyjęcia dwóch skrzynek bez przesuwania pozostałych.

— Można zrobić wysuwany moduł.

— Nie chcę ciężkich prowadnic. Samochód ma jeździć, nie stać w salonie meblowym.

— Zgadzam się. Dlatego zastosujemy ograniczniki i prowadnice dostosowane do obciążenia. Nie będę pani montował szuflady z kuchni.

— To dobrze. Nie lubię kuchni na kółkach.

— A ja nie lubię księgarni, w których książki wypadają przy pierwszym ostrzejszym zakręcie.

Popatrzyłam na niego, a on przez moment wytrzymał moje spojrzenie, po czym wrócił do pomiarów. Zastanawiałam się, czy zawsze miał ostatnie słowo, czy tylko w obecności klientów, którzy nie zamierzali bez dyskusji przyjmować jego rozwiązań.

Po godzinie do warsztatu wszedł Marek, właściciel, z telefonem przy uchu. Przywitał nas skinieniem głowy i odłożył na stole segregator.

— Widzę, że już się poznaliście.

— Zaczynamy od nowa — odpowiedział Sławomir.

— Nie przesadzaj. Samochód jeszcze nie jest rozebrany do ostatniej śrubki.

— Ale projekt wymaga zmian.

Marek spojrzał na mnie pytająco.

— Nic, czego nie dałoby się ustalić — powiedziałam.

— No właśnie. Dlatego was połączyłem. Sławek zna się na takich zabudowach lepiej niż ktokolwiek, kogo mógłbym tu sprowadzić. A Alina wie dokładnie, czego chce. Powinniście się dogadać.

— Właśnie próbujemy — odparłam.

Marek roześmiał się pod nosem i wrócił do biura.

Sławomir tymczasem rozłożył na stole kolejne arkusze. Na jednym znajdował się przekrój samochodu z zaznaczonym środkiem ciężkości. Na drugim szkic modułów, które chciał wykonać z lekkiej sklejki i aluminiowych profili.

— Mam jeszcze jedną uwagę — powiedział. — Nie możemy projektować tego samochodu wyłącznie pod kątem postoju.

— Dlaczego?

— Bo będzie pani w nim spędzać większość czasu w ruchu. Jeśli półki będą za głębokie, książki trzeba będzie zabezpieczać osobno. Jeśli blat będzie za szeroki, utrudni przejście. A jeśli nie zostawimy odpowiedniego miejsca przy wejściu, podczas wydarzeń ludzie będą tworzyć kolejkę na zewnątrz.

Przesunął palcem po planie.

— Chciałbym zobaczyć pani obecną księgarnię podczas pracy.

— Po co?

— Żeby zobaczyć, jak pani obsługuje klientów. Jak rozkłada towar, gdzie odkłada książki, co robi, kiedy ktoś chce obejrzeć kilka tytułów naraz. Projektowanie bez obserwacji byłoby zgadywaniem.

Nie spodziewałam się takiej propozycji. Większość ludzi, którym opowiadałam o księgarni, od razu pytała o liczbę książek, metraż albo przewidywany obrót. On chciał zobaczyć, jak wygląda zwyczajny dzień.

— Mam jutro spotkanie w jednej z miejscowości pod Olsztynem — powiedziałam. — Ale to nie jest wycieczka krajoznawcza.

— Nie proponowałem wycieczki.

— I nie będzie pan decydował, gdzie mam jechać.

— Nie mam takiego zamiaru.

— Dobrze. Bo trasa jest już ustalona.

Przyjrzał się mojemu notesowi.

— Na jak długo?

— Na kilka tygodni. Potem mam kolejne terminy.

— A samochód ma być gotowy przed pierwszym wyjazdem?

— Tak.

— W takim razie mamy mniej czasu, niż zakładałem.

— Dlatego zależy mi na konkretnych decyzjach.

Sławomir zwinął część rysunków.

— W takim razie proponuję, żebyśmy najpierw sprawdzili rozkład obciążenia. Bez tego nie zatwierdzę ostatecznej zabudowy. Mogę przygotować dwa warianty, ale potrzebuję informacji o rzeczywistej liczbie książek i wyposażenia. Nie chcę opierać projektu na szacunkach.

— Mogę jutro przywieźć skrzynki.

— Wszystkie?

— Nie zamierzam przenosić całej księgarni do warsztatu.

— Wystarczy kilka reprezentatywnych. Różne formaty, różna waga.

— To mogę zrobić.

Zamknęłam notes. Nie osiągnęliśmy wszystkiego, co planowałam, ale przynajmniej wiedziałam, na czym stoimy. Sławomir nie zamierzał zaakceptować mojego projektu bez zmian, a ja nie zamierzałam pozwolić mu na dowolne przekształcanie przestrzeni. Mieliśmy jednak wspólny punkt wyjścia: samochód miał działać, nie tylko dobrze wyglądać.

Kiedy zbierałam dokumenty, zauważyłam, że na jednym z arkuszy narysował niewielki składany stołek przy wejściu.

— Tego nie było w moim projekcie — powiedziałam.

— Wspominała pani o starszych klientach, którzy potrzebują miejsca, żeby spokojnie przejrzeć książki.

Zatrzymałam się z teczką w dłoni.

— Pamiętał pan?

— Przecież rozmawiamy o księgarni, nie o szafie do sypialni.

Nie wiedziałam, dlaczego ten drobny szczegół zrobił na mnie większe wrażenie niż wszystkie jego techniczne argumenty. Może dlatego, że od początku spodziewałam się walki o każdy centymetr, a on zapamiętał coś, czego nie zaznaczyłam nawet na rysunku.

— Stołek musi być składany — powiedziałam.

— Oczywiście.

— I nie może blokować wejścia.

— Wiem.

— I ma być wygodny.

— Pani naprawdę lubi stawiać warunki.

— To moja księgarnia.

— Zaczynam rozumieć.

Wziął arkusz i dopisał kilka wymiarów. Nie próbował mnie przekonywać, że jego pomysł jest lepszy. Po prostu uwzględnił moje uwagi.

Przy drzwiach warsztatu zatrzymałam się jeszcze na chwilę.

— Jutro będę tutaj po dziewiątej. Przywiozę skrzynki.

— Dobrze. Ja przygotuję warianty konstrukcji.

— I proszę pamiętać, że nie chcę robić z tego kampera.

— A ja proszę pamiętać, że nie buduję półek do przyczepy kempingowej.

Pokręciłam głową.

— Widzę, że będzie pan trudnym współpracownikiem.

— Wzajemnie, pani Alino.

Wyszłam, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Na parkingu odnalazłam kluczyki w kieszeni płaszcza i przez chwilę siedziałam za kierownicą. Miałam przed sobą kilka tygodni pracy, ograniczony budżet i projektanta, który zdawał się traktować każdy mój pomysł jak zaproszenie do dyskusji. Powinnam była być zirytowana. Byłam zirytowana.

A jednak, kiedy ruszałam, przypomniałam sobie jego uwagę o składanym stołku.

Nie zapomniał, dla kogo właściwie miała powstać ta księgarnia.

I to było znacznie bardziej niebezpieczne dla mojego spokoju, niż chciałam przyznać.

Rozdział 2 - Warunki, których nie było w umowie

Następnego dnia przyjechałam do warsztatu z trzema skrzynkami książek, zwiniętą matą ochronną i torbą, w której miałam miarkę, notes oraz kilka drobiazgów potrzebnych do odtworzenia codziennego układu księgarni. Jedna skrzynka zawierała ciężkie albumy i książki w twardych oprawach, druga powieści w miękkiej okładce, trzecia różne formaty, które najczęściej sprawiały problemy przy układaniu na półkach. Nie chciałam, żeby Sławomir projektował przestrzeń na podstawie samych wymiarów. Książki miały różne rozmiary, a klienci nie zawsze odkładali je tam, skąd je wzięli.

W warsztacie panował poranny ruch. Marek rozmawiał z dostawcą, dwóch mechaników przygotowywało samochód do dalszego demontażu, a przy moim busie stał Sławomir. Miał na sobie ciemny sweter i robocze spodnie. Na stole leżały już nowe rysunki, tym razem z zaznaczonymi punktami mocowania.

— Punktualnie — powiedział, kiedy mnie zobaczył.

— To chyba dobrze?

— Zdecydowanie. Zwłaszcza że przyniosła pani pół księgarni.

— Tylko tę część, która może pana zainteresować.

Podniósł jedną ze skrzynek, zanim zdążyłam sięgnąć po uchwyt.

— Cięższe, niż wyglądają.

— Albumy o architekturze i fotografii. Niektóre ważą więcej niż mały pies.

— W takim razie nie będziemy ich umieszczać na najwyższej półce.

— Wreszcie jakaś decyzja, z którą się zgadzamy.

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Ustawił skrzynki przy wejściu i poprosił, żebym pokazała mu, jak zwykle układam książki. Rozłożyłam matę, wyjęłam kilka tytułów i zaczęłam tłumaczyć, dlaczego niektóre powinny być dostępne od razu, a inne mogły zostać schowane w dolnych modułach. Mówiłam o czytelnikach, którzy przychodzili z konkretnym tytułem, i o tych, którzy potrzebowali zachęty. O dzieciach, które wybierały książki po okładkach, i o starszych osobach, które wolały najpierw przeczytać fragment.

Sławomir słuchał, przestawiając książki na stole. Nie przerywał, nie proponował od razu własnych rozwiązań. Dopiero kiedy skończyłam, wziął do ręki jeden z albumów.

— Tego nie da się wygodnie przeglądać na stojąco.

— Dlatego chcę blat.

— A jeśli dwie osoby będą chciały oglądać go jednocześnie?

— Wtedy potrzebuję miejsca, żeby mogły stanąć obok siebie.

Przyjrzał się szerokości skrzynki, potem zmierzył przestrzeń między drzwiami a planowaną zabudową.

— Zrobimy blat wysuwany z możliwością rozłożenia dodatkowej części. Ale trzeba będzie wzmocnić mocowanie.

— Ile to zmieni w kosztach?

Podał mi orientacyjną kwotę.

— To więcej, niż zakładałam.

— Mogę znaleźć tańszy materiał, ale nie chcę oszczędzać na mocowaniu.

— Nie proszę pana o oszczędzanie na bezpieczeństwie. Proszę o rozsądne wykorzystanie budżetu.

— To uczciwe. Zobaczę, co da się zrobić.

Pochylił się nad rysunkiem i zaczął nanosić poprawki. Zauważyłam, że kiedy pracował, jego twarz traciła tę powściągliwość, którą widziałam poprzedniego dnia. Stawał się bardziej skupiony, a jednocześnie swobodniejszy. Nie potrzebował opowiadać o swoim doświadczeniu. Wystarczyło obserwować, jak układał kolejne elementy i sprawdzał, czy ich wymiary rzeczywiście mają sens.

Po kilkunastu minutach podał mi jeden z arkuszy.

— Proszę zobaczyć.

Na rysunku półki były niższe niż w mojej pierwotnej wersji, ale ich układ pozwalał wykorzystać całą szerokość ściany. Blat znajdował się bliżej wejścia, a składany stołek miał własne mocowanie przy bocznym panelu. W dolnej części przewidziano przestrzeń na skrzynki transportowe.

— To wygląda lepiej — przyznałam.

— Niech pani jeszcze nie chwali. Nie sprawdziliśmy, czy wszystko się zmieści.

— Ale pomysł jest dobry.

— Zapiszę sobie tę chwilę.

— Proszę nie przesadzać. Nie przywyknę do komplementowania pana pracy.

— Nie oczekuję. Wystarczy, że będzie pani mówić, kiedy coś nie działa.

Wzięłam rysunek i przyjrzałam mu się dokładniej. Niektóre rozwiązania były inne, niż sobie wyobrażałam, ale nadal rozpoznawałam w nich swoją księgarnię. To było ważne. Nie chciałam wejść do gotowego samochodu i poczuć, że ktoś urządził go za mnie, nie pytając o zdanie.

— Mam jeszcze jedną sprawę — powiedziałam. — Chciałabym, żebyśmy ustalili zasady współpracy, zanim zaczniemy zamawiać materiały.

Sławomir odłożył ołówek.

— Słucham.

— Ja odpowiadam za funkcję księgarni, asortyment, budżet i trasę. Pan odpowiada za konstrukcję, bezpieczeństwo i techniczne rozwiązania. Każda zmiana, która wpływa na koszt albo układ wnętrza, musi być ze mną uzgodniona. Nie chcę dowiadywać się po fakcie, że coś zostało zamówione albo wykonane inaczej, niż ustaliliśmy.

— Zgadzam się. Ale mam jeden warunek.

Oparłam dłonie na stole.

— Jaki?

— Jeśli uznam, że pani pomysł zagraża bezpieczeństwu albo nie spełnia wymagań technicznych, nie będę go realizował tylko dlatego, że jest pani właścicielką samochodu.

— Nie oczekuję, że będzie pan robił coś niebezpiecznego.

— W takim razie nie powinno być problemu.